Nr. 34. We Lwowie dnia 21. Sierpnia 1898. Rok 6.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

„Pan Tadeusz Mickiewicza jako Epos.“

I.

Pewne rodzaje poezji są podobne do roślin lub kwiatów, rozwijających się tylko w przyjaznych dla siebie warunkach. Tylko z wiosną na łąkach kwitną mlecze i kaczeńce, tylko na moczarach bieleją nenufary, na brzegach jezior i stawów kołyszą się za lada powiewem smukłe liście ajeru, tylko w leśnej ustroni poziomki wydają krasne jagody.

Poezja ma także swoje kwieciste błonia, bujne łany i sady i winnice uginające się pod ciężarem owoców.

Dzisiejsza krytyka, uważając się słusznie za odnogę historji cywilizacji, rozkoszuje się wonią i barwą tych kwiatów, bada różne gatunki drzew i krzewów, rosnących na niwie poezji, wykazuje ich cechy znamienne, tłómaczy ich piękność i siłę żywotną warunkami rasy i epoki wśród których powstały.

Odmienne stanowisko wobec dzieł poetycznych zajmowała krytyka dawna, począwszy od teoretyków staro-indyjskich i gramatyków aleksandryjskich w Grecji, kujących formuły dla wszystkich rodzajów poezji, aż do prawodawców pseudo klasycznych we Francji, którzy z traktatu Horacego „de arte poetica“ tworzyli nieruchome dogmaty, wreszcie do tych krytyków i recenzentów warszawskich, których przed sześćdziesięciu laty pogromił Mickiewicz kilkoma ciosami swej piorunującej polemiki.

Twórcy kodeksów i recept na tworzenie poezji, oraz naśladowcy wzorów klasycznych w różnych epokach i czasach, zastanawiali się nad cechami przeważnie zewnętrznemi dzieł znakomitych, urabiając z nich formuły, obowiązujące na przyszłość. Jeżeli w „Iliadzie“ i „Odysei“ opiewane były dzieła bohaterów, wielkie czyny odwagi lub wytrwałości ludzkiej, do których się mięszali bogowie, to począwszy od „Eneidy“ Wergilego, każdy poemat, który potem chciał uchodzić za epopeję klasyczną w wielkim stylu, musiał mieć bohaterów pół bogów, oraz czuwające nad nimi potęgi nadziemskie.

Dla tego w „Jerozolimie Wyzwolonej“ Tassa, aniołowie mięszają się do czynów wojennych Gottfreda de Bouillon, a w „Luizjadzie“ Kamoensa losami chrześcijańskich rycerzy i żeglarzy portugalskich opiekuje się Jowisz i jego koledzy z pogańskiego Olimpu, a nawet Bachus zamieniony na Katona, według pojęć średniowiecznych, urządza zasadzkę i do chrześcijańskiej niby świątyni wabi w Mombazie podróżników aby ich wydać w ręce niewiernych Maurów[1]) Dla tego w epopejach włoskich z epoki odrodzenia, występuje cały aparat cudowności wprowadzonych sztucznie, nieszczerze, robiący często wrażenie ozdób i przystawek konwencjonalnych. Dla tego Kornel i Rasyn musieli kurczyć swe wielkie talenty, wtłaczać je w ramy formuł i trzech jedności, które za czasów staro-greckich były naturalnym wynikiem techniki warunków, w jakich się odbywały widowiska sceniczne, ale nie odpowiadały potrzebom ani naturze nowożytnego dramatu.

Na podstawie formuł i przepisów dawna krytyka gramatyczna i szkolarska, wygłaszała odznaczenia i pochwały, nadawała godności i tytuły zaszczytne, stawiając piewców na wyższych lub niższych szczeblach hierarchji twórczej. Epopeja i tragedja, oto według klasyków są dwie wyżyny, na które piąć się powinni poeci, aby zyskać senatorskie krzesło na Parnasie. Być autorem epopei w dobie pseudo-klasycznej, to znaczyło zasłużyć na najwyższą literacką rangę.

W tym celu jak słusznie szydził Mickiewicz, pisało się: „poemat“ noszący tytuł na „ada“, zaczynający się od „ja śpiewam“ z przydatkiem potrzebnych alegorji i tak nazwanych

[1]) Luiz Camoens „Luzjady“ epos o 10 pieśniach, przełożył Adam M—ski. Warszawa nakład Lewentala 1890 r. (str. 46. Pieśń II. oktawa III.. i następne).

machin i tworzyło się epopeję narodową[1])". Ironja ta stosuje się doskonale do takich sztucznych, wymuszonych płodów, jak „Henryjada" Woltera albo „Wojna Chocimska" Krasickiego, nie mówiąc już zupełnie o niedołężnych próbach jak np. „Jagielonida" Tomaszewskiego, którą poważnie krytykowal sam Mickiewicz, jako dwudziestoletni debiutant literacki.

II.

Nazwa eposu lub epopei, której szkolarze nadali pedantyczny odcień, odpowiada jednak wielu wspaniałym dziełom poezji z różnych epok i literatur.

Obejmując jednym rzutem oka całą gałęź poetycznej epiki, można wyróżnić w niej dwie wielkie grupy, dwa rodzaje, dwa szeregi.

Pierwszym rodzajem jest epopeja pierwotna samorodna (spontaneiczna), będąca młodzieńczym wykwitem poezji narodowej, drugim rodzajem epopeja literacka stanowiąca owoc twórczości świadomej swych celów i wyrobionej na istniejących wzorach literackiej kultury.

Epopejami samorodnemi są podług mnie: „Iliada", „Odysseja", „Mahabharata", „Ramajana", wreszcie staro niemiecka „pieśń o Nibelungach". Epopejami literackimi: perska „Szach Nameh" czyli „Księga Królów" Firduziego, „Eneida" Wirgilego, „Farsalia" Lukana, „Wyprawa argonautów" Apoloniusza Rodyjskiego, „Boska Komedja" Dantego, „Jerozolima Wyzwolona" Tassa, „Orland Szalony" Ariost'a, „Luzyjada" Kamoensa, „Franciada" Ronsarda, „Raj utracony" Miltona, „Wojna Chocimska" Krasickiego, „Henryjada" Woltera, „Messiada" Klopstocka, „Stefan Czarnecki" Kajetana Koźmiana, „Herman i Dorotea" Göthe'ego, „Don Żuan" Byron'a, „Ahaswerus" Hamerlinga, „Beniowski" Słowackiego i „Pan Tadeusz" Mickiewicza

Kładę nacisk na to odróżnienie, albowiem stanowi ono punkt wyjścia, dla dalszych uwag zawartych w tym szkicu.

Podział taki opiera się na podstawie praw przyrodzonych rozwoju gatunków w poezji. Zestawienie i porównanie tych dwu szeregów, otwiera, jak sądzę, szeroki widok na inną jeszcze kwestję ważną dla badań literackich. Jest to kwestja stosunku dzieł literackich pierwotnych, będących li tylko płodem popędu twórczego danego narodu, do dzieł pochodnych, tworzonych na podstawie wzorów, pojęć i teorji, poczerpniętych z literatur już istniejących. Walka lub oddziaływanie na siebie pierwiastku samorodnego z pierwiastkiem teoretycznym lub naśladowczym jest sprawą w rozwoju sztuki oraz literatury dotąd niedostatecznie rozpatrzoną. Jednak głębsze jej filozoficzne ujęcie, może wyjaśnić, jak sądzę, charakter i przyczynę trwałości albo upadku różnych prądów albo mód estetycznych.

Z dwu wielkich rodzajów epiki, zwrócę teraz uwagę głównie na pierwszy, to jest na epopeje samorodne (spontaneiczne), które pomimo różnicy ras i epok, przedstawiają znaczne gatunkowe i genetyczne podobieństwa.

Młodzi ludzie w różnych narodach mają pewne cechy wspólne. Inteligentni Francuzi, Anglicy, Polacy, Rosjanie lub Niemcy w dwudziestym roku życia, jeśli są zdrowo, normalnie rozwinięci, pomimo różnic fizycznych rasy i temperamentu, odznaczają się rzeźkością sił, świeżością umysłu i wyobraźni, poglądem na świat niewyrobionym, i patrzą na rzeczy i ludzi przez szkiełka teoretycznych uprzedzeń.

Tak samo wielka poezja epiczna ludów młodych ma pewne cechy i znamiona wspólne, zarówno u Greków lub Indusów starożytnych, jak u średniowiecznych Germanów, chociaż rozwój każdego z tych narodów kroczył po odmiennych drogach i dążył ku innym ideałom.

Epopeja samorodna jest pierwszą manifestacją twórczości artystycznej na wielką skalę. Dla tego też posiadają ją literatury ludów, które skupiały w jedną całość rozproszone legendy i pieśni rycerskie. Epopejami nie są jeszcze takie utwory jak „Edda" skandynawska, francuskie „chansons de gestes", „Cyd" hiszpański, staro ruskie „byliny" lub pieśni serbskie „słowo o pułku Igora", chociaż wszystkie należą do tej pierwotnej formacji legendowo-bohaterskiej, z której potem zbieracze lub poeci, kształtują wielkie dzieła sztuki.

Epopeje samorodne powstają w epokach przejściowych, gdy poezja kwitła przeważnie w żywem słowie, gdy sztuka literacka zaczęła się wyłaniać z podścieliska poezji ludowej. Stanowisko odrębne poezji jako fachu pisarskiego nie jest jeszcze znanem, dla tego też nazwy poetów pierwotnych giną w legendowym mroku.

Krytyka naukowa rozpoczęta przez Fr. Augusta Wolfa przy końcu zeszłego stulecia, rozłożyła na cząstki osobistość Homera, widząc w nim raczej symbolicznego reprezentanta dawnej epoki Hellenów, któremu przypisywano w starożytności dzieła z epok dosyć od siebie odległych. Dr. L. Cwikliński w swej gruntownej i krytycznej pracy: „Homer i Homerycy[1])" idąc za opinjami Lachmana i Kirhofa, twierdzi, że najprawdopodobniej „Iliada" jest zbiorem pieśni odrębnych i osnutych na jednym temacie gniewu Achillesa, a „Odysseja" rozwinięciem i uzupełnieniem pierwotnego poematu o powrocie Odysseusza do Itaki. poematu znacznie rozszerzonego przez późniejszych przerabiaczy. Opinje te po-

[1]) Patrz: przypisek do artykułu „O krytykach i recenzentach warszawskich" w „Poezjach Mickiewicza" wydanie warszawskie 1888 r. tom IV. str. 289.

[1]) Praca ta drukowaną była w „Przewodniku literackim i naukowym" we Lwowie 1881 r. (patrz str. 47, 148). Ukazała się tegoż roku w osobnej odbitce.

piera nasz filolog siłą argumentacji przekonywającej, walcząc przeciwko zwolennikom teorji o jedności poematów Homeryeznych i przeciwko poetom niemogącym się pogodzić z rozwianiem legendy o ślepym harfiarzu.

Autor olbrzymiej „Mahabharaty“ sam się mianuje w j a z ą tj. wiążącym zbieraczem pieśni bohaterskich czyli „ityhaz“, które powstały w ciągu kilku wieków. Chociaż twórcą „Ramayany“ jest Walmiki, osobistość podobno historyczna, jednak o życiu jego i powstaniu tej cudnej epopei nie ma żadnych pewnych szczegółów.

Podobnież nowsza krytyka naukowa nie może wyraźnie wskazać autora „Pieśni o Nibelungach“, przypisując ją kilku minezengerrom a między nimi Kürenbergowi pieśniarzowi z Austrji.

Kwestja ta, również jak geneza epopei Homerowskiej nie jest stanowczo roztrzygnięta. Lachman twierdzi, że zarówno „Iliada“ jak „Nibelungi“ zlepione są z pojedyńczych pieśni, tak samo, dodam od siebie, jak śliczne wazy starożytne w muzeum monachijskiem, które archeologowie kleją i łatają kunsztownie z kawałków i skorup, jakby świeżo wyszły z rąk starożytnych garncarzy.[1]) Dawni jednak zbieracze i redaktorowie epopei pierwotnych niebyli tak biegli, jak mistrze dzisiejsi, zostawiając dosyć widoczne spojenia, skazy i sprzeczności. Wyszukała je bystra krytyka filologiczna.

Każda z tych pięciu wielkich epopei odpowiada jakimś faktom rzeczywistym, osłonionym mgłami podań prastarych, które jak słusznie twierdzi Tylor pod powłoką zmyśleń fantastycznych, kryją rdzeń prawdy dziejowej[1]).

Wojna trojańska nie jest bynajmniej legendą osnutą na jednej wyprawie, ale epizodem kolonizacji Eolczyków i Achajów na północno-zachodniem wybrzeżu Azji Mniejszej i następnie na całym obszarze dawnego państwa Dardańskiego.

W „Mahabharacie“, zawarte są dzieje długoletniej wojny dwu dynastji Kuru i Pandu, walczących o władzę w Indostanie nad Gangesem i Jamuną. „Ramayana“ jest poetycznem odtworzeniem legendy, opartej na podboju Ceylonu i zwycięstwem odniesionem przez cywilizowanych Aryjczyków nad dziką tubylczą ludnością tej wyspy. W „Nibelungach“ widzimy spływ niektórych podań skandynawskich z „Eddy“ oraz wspomnień o katastrofie Burgundów, których w r. 437 wytępił Atylla.

Jednem słowem, w tych poematach zawarte są złomy katastrof dziejowych, wielkich przedsiewzięć i walk prowadzonych przez narody młodzieńcze. Tak samo jak kamienie i skały, które przed wiekami wyrzucił na wierzch ziemi jakiś kataklizm, obrastają miękkim mchem, kryją się pod festonami zieleni, podobnież fantazja pierwotna przekroczyła realne kształty faktów dziejowych, oplotła je upiększeniami legendy, zapładniającej poezję pierwotną. (D. c. n.)

Józef Kotarbiński.

[1]) Zobacz „Pieśni o Nibelungach“ przekład Szabrańskiego (Warszawa 1881 r. nakład S. Lewentala) wstępu str. XII oraz „Literaturę kościelno-chrześcijańską, germańsko-pogańską, do wojen Krzyżowych“ przez Edwarda Grabowskiego w tom. II. „Dziejów literatury powszechnej“ (Warszawa 1887 r. nakład Lewentala str. 224 i następne).

[1]) Edward B. Tylor. „Antropologja“ w przekładzie Al. Bąkowskiej Warszawa nakładem Prawdy 1889 r. str. 351 i następne

Komissja śledcza warszawska z r. 1863.

3) (Wyjątek z pamiętnika.)

Był czas kiedy exterminacja kraju nie była jeszcze postanowioną, szło to jakoś do r. 1867 w kierunku pacyfikacyjnym. Kto szedł na śmierć z takim nie rachowano się wcale, kto jechał w Sybir także przedmiotem troskliwości nie był żadnej, ale kto był uwolniony ten zdaniem Tuchołki, powinien był wynieść z tych murów coś w rodzaju wrażenia dodatniego. Wówczas, jeżeli zwłaszcza należał taki do ludzi młodych, a zatem przypuszczalnie wrażliwych, żegnało się go mówką treści pouczająco-pojednawczej, wyjaśniało rodzaj obowiązku, jaki to uwolnienie wkłada i trzeba przyznać, że był w tem sens, ład i skład.

Prostakiem nie był Tuchołka z największą pewnością.

Wiedział przytem co do kogo powiedzieć, a że w dodatku pamięć osób, faktów i okoliczności towarzyszących miał wyborną, więc zadaniu swemu odpowiadał należycie.

Położenia nieszczęśliwe mają to do siebie, że rzadko komu w takich zetknięciach sądzono zachować zdrowe zapatrywanie się na rzeczy. Jużciż wszyscy wisieć nie mogli, więcej wysłać na Sybir niż wyjechało nie było

interesu żadnego, więc oczewiście musieli być i uwolnieni. Znalazła się tedy pewna ilość filistrów, która za swoich synów lub blizkich poczuwała się do obowiązków wdzięczności względem tego człowieka i wydawała o nim sądy szlachetnem umiarkowaniem nacechowane. Przykre są nader zboczenia podobne i godne pożałowania położenie społeczności, wśród której podobne koszlawienie sądu jest możebne. Człowiek o którym mówimy z resztą rodu ludzkiego z pewnością niemiał cech wspólnych Potrzeba było Państwu narzędzia srogiego, nieubłaganego, zdolnego wywrzeć grozę i popłoch; znaleziono to narzędzie w nim więc go użyto i należycie nagrodzono; że zaś miał przytem wiadomości, że był człowiekiem zdolnym, więc o tyle lepiej mógł się z włożonego nań zadania wywiązać. Opinji ludzkiej niemiał nawet wśród swoich i po za stosunkami oficjalnymi boczono się od niego jak wypada; jeżeli zatem głosy takie wychodziły z pomiędzy nas, to już nie było to dowodem złości ale ciężkiej nieuleczalnej głupoty.

Osłabł pod koniec. Zdawało się, że go strawiła ta robota. Nie można się temu dziwić; nikt inny z jego wiedzą i świadomością tego co robi, i tak długo jak on nie byłby wytrzymał. Muszą być jakieś granice człowieczeństwa, do przestąpienia nakreślone. Już w 1868 r. absentował się miesiącami całemi, leczył się i niedługo potem umarł. Zdaje się w roku 1871 czy 2.

Majątek, oprócz tego, którym go legalnie obdarowano pozostawił znaczny. Jeszczeby też!

Bolesnem jest przeświadczenie, że z pośród nas wyszedł ten nie-człowiek.

Griszyn, Pułkownik Artylerji, zastępujący w razie nieobecności prezydującego, wieku podówczas między 50 a 60 rokiem. Ogładzony, z wiadomościami, co mu nie przeszkadzało w chwilach oburzenia wybijać zęby tabakierką. Zresztą indywiduum bez znaczenia, jakich tysiące do rozporządzenia zawsze mieć można. Nieporównanie większego waloru był:

Ustimowicz, syn księdza prawosławnego nie bez zdolności i z wykształceniem. Jakkolwiek z zasady nieprzyjaciel narodu, któremu też wszelkie możliwe krzywdy rad był wyrządzić, całą działalnością swoją wyróżniał się z pośród swego otoczenia. O ile wieść głosiła niedostępny przekupstwu, wstrzemięźliwy w życiu, odgrywał rolę człowieka zasad, głębokiego polityka, a o swojem życiu domowem i obowiązkach ojca rodziny mówił z przejęciem. Dosyć to wygląda na żart taka tyrada w miejscu, gdzie jako chleb powszedni druzgocą się codziennie setki egzystencji i całe rodziny na zagładę skazuje jednem pociągnięciem pióra. Ale cóż tu robić kiedy my z tego rodzaju anomaljami, na każdym kroku spotykać się musieliśmy i tak długo i wytrwale nas z niemi oswajano, że w końcu uwierzyliśmy zupełnie, jako do życia my jedni żadnego prawa nie mamy. Zawsze obłożony gazetami ruskiemi i polskiemi, z których najuważniej zdawał się poznańskie i galicyjskie przeglądać, doszedł istotnie do rzeczywistego wtajemniczenia się w nasze życie wewnętrzne i z pewnością więcej o niem wiedział, niż wszyscy razem wzięci koledzy jego, Tuchołkę w każdym razie wyłączając.

Dla środków repressyjnych, w brutalnem znaczeniu tego słowa, nie miał uznania żadnego, natomiast wyznawał system eksterminacji programowej, konsekwentnej i wytrwałej. Mógł też oddać w danym razie usługi większe, niż te jakiemi się na stanowisku inkwirenta cytadelnego mógł wykazać, bo mu ani na wiadomościach, ani na sądzie zdrowym nie zbywało. Pomiędzy tymi, których on dostał w swoje ręce mało chyba wolność odzyskało, ale niezwykł był uciekać się do wstrętnych sposobów wymuszania zeznań, obelg i gwałtów. Obsaczenie jednak klienta taką siecią dowodów niewątpliwych, iż ten za nieodwołalnie zgubionego mógł się uważać, upajało go, i takiemu przez siebie pogrążonemu, którego w ręce Sądu wojennego oddawał, gotów był następnie wszelkie możliwe, w Cytadeli dopuszczalne, uprzejmości podściełać. Ułożył treściwy szkic ruchu narodowego w r. 1863, opierając się przeważnie na zeznaniach Daniłowskiego i Awejdy, których też na każdym kroku cytuje. Aż tyle zmysłu syntetycznego przypisywać mu się nie godzi, iżby go o samodzielne, bez tych nici przewodnich, złożenie w całość wypadków posądzać było można.

Powierzchowność miał wstrętną, używał rangi podpułkownika, do której doszedł w auditorjacie

Pułkownik Jereczniew i pułkownik Markijanowicz były to dwa indywidua bez znaczenia, z których pierwszy dorabiał się głową i ręką pomocnika swego. O tych jednak pomówimy poniżej.

Hassfeldt, pułkownik, osobistość dzika i obrotna, która najprzód w Kielcach, a następnie w komisji Warszawskiej odznaczyła się całym szeregiem bezprawi. Bez zdolności, podobnie jak dwaj poprzednio razem wymienieni, posiłkował się sprytem swojego attaché, urzędnika sądowego, o którym osobno powiemy, co należy. Bez tego szacownego współpracownika i bez tych środków jakich używał, a którym nikt tamy stawiać nie myślał, byłby zupełnie nieprzydatnym.

(D. c. n.)

5)

ZAJĄC.

POWIEŚĆ

przez

Adolfa Dygasińskiego.

O jakie trzydzieści kroków od kotliny na:ego bezuchego szaraka była kotlina druga, a · niej — szarak o dwóch słuchach, śpioch wiać, nieczuły na wrażenia świata zewnętrznego - strach małego talentu. Niech giną zające, tóre się bać nie umieją! Jak bomba wyskoczył legowiska, a w tej chwili huknęło — tarach!. atoczył się, ale pędził.. Drugi raz — tarach— - i kot przewrócił kozła, poszedł do torby pa:a Filipa.

Ten zginął, tamten ocalał, oto różnica w rzymiotach osobniczych. Zawsze drżyj ze strahu i uciekaj, bylebyś życie ocalił.

Należy wiedzieć, że ten kucharz nie był rcale zawołanym myśliwym, a jego B·kas już zwartego miał pana i zawsze na podziękowanie a usługi odbierał kopnięcie nogą, okrzyczany apikura, jedynie lizusostwem skarbiący sobie 'zględy panów. Takim się darzy na świecie.

Nasz bezuchy, choć widział z daleka rozlew :rwi zajęczej, zachował się jak zwierzę, nie li·ość uczuł dla zamordowanego, tylko jeszcze ,ększy strach o siebie. Przycupnął w lesie i słuchał bicia własnego serca: jest to muzyka zajęcza, marsz strachu.

Zeszło mu do późnego wieczora. Wschodził październikowy księżyc, wyglądał jak placek szewski, kołacz z serem, oblany szafranem, poprzypalany, wysadzany czarnemi rodzynkami. Cisza panowała w polach, spokój, budzący w zającach zaufanie: i największy tchórz uczuwa w sobie niekiedy błogą pewność, że nikt nie czyha na jego życie. Nie, pewności takiej nigdy nie ma u zająca; jest tylko pół — pewność.

Szarak opuścił kotlinę, baczył czas jakiś, o ile mógł obciętemi słuchami; potem skacząc z zagona na zagon, popędził na wzgórek z krzyżem. Wytarzał się tu w rosie, przytupnął, wyciął szczupaka, bawił się w zucha, wyobrażał sobie, że jest odważny.

Pst!.. Usłyszał lekki szelest. Aa, to jakiś zając! Tylko nie gach, jeno płeć żeńska. Wprawdzie minęła już pora zajęczych zalotów i w październiku nie zawiera się związków małżeńskich; ale dobrze jest mieć znajomą i nigdy nie szkodzi pożartować z miłą płcią nadobną.

Zrazu nie spodobał się coś gach, że to bezuchy, a u zająców w słuchach, nie w wąsach wdzięk męski spoczywa. Może i myślała, że ten gach postradał uszy w pojedynku o kochankę, a taka zawziętość jego byłaby nadzwyczajnie chlubna.

Wesoło im było, gdy się puścili na harce zajęcze, odbywali gonitwę koło krzyża, stawali słupka jedno naprzeciw drugiego, szybko poruszali wargami, przytupywali tylnemi skokami, szczypali się po szyjach, macali po biodrach, pomrukiwali z roskoszy — zwyczajnie, romans zwierzęcy po księżycu.

Gach jednak łowił szmery obciętemi uszyma, zaczynało go coś korcić. Ona, pewnie lekkomyślniejsza, widocznie rozfiglowała się, pożądała jaknajwięcej zabawy, pląsów, potrząsów i przeszkadzała mu w czujności, kołysała do snu baczny strach jego. Niejeden już zginął z takiego powodu!

Oni się tak weselą, a tu zgiełk jakiś, łoskot bardzo wyraźny zakłóca im te rzadkie w życiu chwile szczęścia: właśnie on, uniesiony szałem swawoli, chwycił ją zębami za kosmyk, gdy się to stało.

Spojrzeli i odrazu zniknął ich wesoły nastrój duszy. W dolinie, gdzie cień pagórka mroki rozpościerał, coś się ku nim toczyło w podskokach.

Był to Burek, pies księży, szeroko znany z nocnych wypraw na zające. Kloc drzewa zawieszono mu u szyi w celu powstrzymania go w zapałach myśliwskich, a nic to nie pomagało: co noc uciekał z domu i zapalczywie ścigał szaraki, chociaż ciężki kawałek drewna plątał mu się między nogami.

W oka mgnieniu rozbawiona para pierzchła: jedno na prawo, drugie na lewo. Pies pogonił za zającem płci męskiej i już węchem, już wzrokiem tropiąc, zawzięcie go ścigał do samego rana.

Z początku szarak zmykał nadzwyczajnie, potem otrzaskał się z pogonią, widział, że mu żadne niebezpieczeństwo nie grozi i wodził psa po rowach, dołach, różnych wertepach. Nazwalibyśmy żartami, psotą takie postępowanie, gdyby to robił człowiek, ale zając..

W każdym razie noc przepadła, zaświtał dzień biały, tak bardzo najeżony niebezpieczeństwy, że się koniecznie dobrze ukryć trzeba. Zając i sił należycie nie pokrzepił, a tu niewiadomo, co wypadnie. Nieprzyjaciel uparty, zawzięty choć niedołężny, znękał, utrapił. Jak długie bowiem i szerokie są Morzelany, wszystkie dziury, kąty, wycierał zając w ciągu tej jednej nocy, a Burek z klockiem wszędzie go dochodził, wypłaszał.

Dopiero rano, pies zziajany, z językiem długo wywieszonym, zaszargany w bagnach, ledwie się wlókł do domu — tak mu klocek nogi poobijał. Pociesznie wyglądała ta ofiara namiętności! Żył po to w dzień, aby w nocy polować. Nie mógł nigdy nic zdobyć z tym nieszczęśliwym klockiem, a jednak nie tracił nadziei, że zdobędzie. Codziennie dostawał w domu srogie kije za nocną wyprawę, a jednak nie opuścił ani jednej nocy bez polowania. Są tacy! „Przegrałem dziś, wczoraj, przedwczoraj; ale jutro mogę się odegrać.“

Takie były najpierwsze występy naszego szaraka na widowni życia. Na pozór niby nic groźnego. nie było; ale kto nie ma szczęścia, zawsze zginąć może

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Lili.

ŻAŁOSNA IDYLLA

przez

Władysława St. Reymonta.

(Ciąg dalszy.)

Olkowski miał i woził z sobą całą pakę starych, okropnych dramideł, które najsumienniej czytywał po kilka razy, a, czytając, grywał je równocześnie, bo ilekroć Zakrzewski spojrzał na niego, zawsze widział to jego nędzną twarz głodomora, rozpaloną wzruszeniem to szeroką a mocną gestykulację, lub słyszał szeptem wypowiadane tyrady, a czasami widział, że Olkowski zrywał się z barłogu, rzucał spieczonemi ustami jakiś frazes potężny, a potem kładł się i uspokajał na czas pewien.

— Cóż pan za głupie hece wyprawiasz!— zawołał Leon, zirytowany, bo się to ciągle powtarzało.

Olkowski nic nie odrzekł, zgasił świecę i i poszedł spać, ale rano miał mocno czerwone oczy i ślady łez na twarzy.

— Wie pan, dzisiaj wigilja...— szepnął cicho i nieśmiało.

— Więc cóż?— zawołał szorstko Leon, którego to przypomnienie zabolało.

— Nic, nic... Przepraszam pana, pan się pewnie na mnie obraził wczoraj; może pan nikomu nic nie powie, bo znowuby się śmiali ze mnie.

— Nic mnie nie obchodzi, co pan robisz. Byłeś pan wczoraj u Szalkowskich?

— Byłem — odpowiedział ciszej i odwrócił głowę, aby ukryć pomieszanie.

Zakrzewski ubrał się szybko i wyszedł, na schodach już spotkał Szalkowskiego.

— Jest Olkowski?

— Jest, no życzę panu, panie Szalkowski, przy dzisiejszej wigilji wszystkiego dobrego i długiego szczęścia w małżeństwie! — powiedział ironicznie, uścisnął mu dłoń i pobiegł.

Szalkowski zaś wszedł do mieszkania, zamknął drzwi na klucz, usiadł przy stole i długo, bezmyślnie wpatrywał się w smugę słońca, wpadającą przez okno. Olkowski sprzątał swoje legowisko i często nań spoglądał, po kilka razy chciał zacząć mówić, ale nieśmiałość brała górę i milczał; tylko zrobił sobie herbaty, i pił zwolna, nie spuszczając z niego oczu.

— Jeszcze jej niema, uważasz, już po dziesiątej a jej niema! — szepnął tamten więcej do siebie, niż do Olkowskiego, który, usłyszawszy wieść taką, zbladł śmiertelnie i tak drżeć zaczął, aż dzwonił zębami po szklance.

— Czemuś pan pozwolił? — szepnął wreszcie cicho, ale z głębokim wyrzutem.

— Głupiś! Jakże ja mogę zabronić? Nie spałem całą noc, czekałem, bo mi powiedziała, że najpóźniej wróci o dwunastej! Boże, jaki ja jestem nieszczęśliwy! Boże jaki ja jestem nieszczęśliwy! — zaczął wołać jęczącym głosem i chwycił się rękami za włosy.

— Gdzie pojechała?

— Do Hrabiego! Ach, jeśli ja go nie zabiję, jeśli go nie zetrę w proch, jeśli nie odemszczę na nim wszystkich moich cierpień, to psem ostatnim będę. Słyszysz, Olkowski? Uderzysz mnie w twarz, jeśli tego nie zrobię.

— Ileż to razy pan tak mówił, co? — szepnął gorzko.

— Ale ci już ostatni raz powtarzam, zobaczysz, ja dzisiaj zrobię coś, coś... strasznego! Ja ją zabiję! — wykrztusił, wijąc się w bezsilnej wściekłości.

Olkowski znając jego tchórzostwo, uśmiechnął się smutnie. . . .

* * *

Zakrzewski, za resztę pieniędzy, jakie posiadał, zakupił u kupca różnych świątecznych wiktuałów i kazał odesłać do Lili, odebrał następnie z poczty pudełko z kwiatami, sprowadzonemi z Warszawy, i poszedł z niemi do ukochanej.

Lili była sama.

— Mama poszła do Korczewskich, a ja czekam na pana, pójdziemy tam razem.

— A jak zupełnie nie pójdziemy, to co?

A — to nie, to będziemy siedzieć w domu, podzielimy się opłatkiem, już wszystko naszykowałam.

Wskazała na stoliczek pod oknem, nakryty obrusem, na którym stała wódka, kilka śledzi i talerz z opłatkami.

— Dobrze, podzielmy się. A za wszystkie życzenia niech pani przyjmie chociaż te kwiatki.

Otworzył pudło i wyjął cały pęk bzów blado-fijoletowych, storczyków o złoto-rdzawych płatkach, konwalji zielonawych, róż czerwonych i różnokolorowych gwoździków.

— To dla mnie! to wszystko dla mnie! Jakie śliczne, jakie cudowne! — wykrzykiwała, cisnąc kwiaty do piersi i dotykając ustami każdego z lubością.

Cieszyła się jak dziecko, położyła je na stole i zaczęła układać w bukiet, ale po chwi-

li kwiaty odsunęła i podnosząc na niego swoje cudowne oczy, szepnęła jakimś stłumionym, pełnym wdzięczności i lęku głosem:

— Jak ja panu podziękuję! Ja panu nie mam co dać, a tak chciałam, tak myślałam, tak marzyłam o tem, i nie mogłam, bo... bo... —i nie dokończyła, łzy zapełniły jej oczy, a Zakrzewski porwał ją w ramiona, otoczył sobą, przycisnął do piersi i z całą namiętnością, długo skrywaną, zaczął całować jej włosy, twarz zarumienioną i te cudne drżące od łkania usta, i te oczy, pełne łez, miłości i uśmiechów.

— Nie można, panie Leonie, nie można! — szeptała przez łzy, na pół przytomna, i odwracała głowę, a bezwiednie cisnęła się do niego i oddawała pocałunki i czuła, że jej jest tak dobrze, tak strasznie dobrze, jak nigdy w życiu nie było.

— Kocham cię Lili! kocham cię! kocham... Spojrzyj na mnie! Jedyna!

Klęknął przed nią, objął jej nogi i całował kolana, małe stopy, suknie — warjował zupełnie.

Ktoś zastukał w drzwi, Lili wyrwała mu się z objęć i uciekła za parawanik, wszedł chłopak od kupca z pakietami,

Gdy znowu zostali sami, Leon poszedł za parawan, stała przy łóżku, zapatrzona z przysłoniętemi oczami w jakąś dal nieznaną; łzy płynęły jej po twarzy, ale słodki, dziwny uśmiech wił się po jej rozpalonych ustach.

— Lili! Lili! — szeptał cicho i szedł ku niej, wyciągając ręce; skoczyła ku niemu objęła go rękami za szyję i zawisła mu na ustach w długim pocałunku; wreszcie odbiegła i aby ukryć wzruszenie, choć drżąca cała, rozpakowała paczki, rozpakowała wino, bakalje, i wędliny, i strucle na stole, i stając przed nim, zawołała grubym, basowym głosem, naśladując Korniszona i gładząc się jego zwyczajem po głowie:

– Zakrzewski! to jest szlachecka rozpusta! Przez to wszystko djabli wzięli!

Rozśmiali się bardzo swobodnie, i śmiali się bardzo długo, potem patrzyli na siebie tak uważnie, jakby się widzieli po raz pierwszy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Nowe książki.

Władysław Orkan — Nowele.

Szumną pieśnią smereków zielonych, smętną melodją ludowego śpiewu, wichrów górskich groźnym, dzikim hymnem wykołysany — stoi wśród nas nowy bojownik za prawdę i piękno.

Bark jego nie okrywa zbroja, ramię miecza nie dzierży. Ale wszak „dziś już nie jest ten rycerzem, kto najwięcej dusz wytraci“, a pióro gdy orlego ducha orężem jest jasnym, „to stanie za grot“.

„Jest i w śpiewie jad!“ —mówi poeta. Jest moc tajemna, ukryta, która duchy jednoczy rozproszone, i kajdan kruszy ogniwa.

Więc nie dziw, że okrzykiem radości, że serdecznego pozdrowienia słowami witany bywa przez współbraci każdy, świeżo zjawiający się w szrankach szermierz ducha, każdy młody żołnierz, który kiedyś wodzem-bohaterem słowa stać się może.

Ten, o którym powiedzieć pragnę słów parę, przybywa poprzedzony rzewną wieścią o matce, chłopce, co upadała z trudu i przymierała głodem, by zdobyć światło dla syna, bo w tym synu sercem matczynem, jasnowidzeniem niewieściem odgadła wieszczego ducha, bo narodowi swojemu nieśmiertelnego chciała dać poetę.

Dwudziestoletni młodzieniec, którego głowę stroją odblaski złoto-krwawej aureoli matki i przeczuć jej wróżby, serdeczne budzić może nadzieje w sercach rodaków. Wszak ojcem jego — lud, olbrzym wpółsenny, w którego piersi moce śpią nieznane, wszak matką jego, wielką matką jego ducha — ziemia polska, przeciekająca od wieków strumieniami krwi i strumieniami łez, ta ziemia, która sama zda się harfą być śpiewną, co gdy ludzkie usta milczą ścięte strachem niewoli, sama w mgliste ranki i wieczory ciche wielką pieśnią żałoby rozbrzmiewa, lub w noce miesięczne drzewami lasów wiosenną pobudkę buntu gra... Wszak on dziecięciem jeszcze na śpiewnem łonie jej senną składał głowę... A może chłodny poświst jesieni nadzieje te rozproszy, może złotym snom biednej wieśniaczki zada przyszłość smutny kłam... wszak kwiat marzeń tak często opada nierozwity...

Nim przyszłość słowo wyroczne wyrzecze, obejrzyjmy plon, który młody syn ludu do skarbnicy piśmiennictwa ojczystego przynosi.

Władysław Orkan rozpoczął zawód swój twórczy tomem nowel. Jestto zresztą zwykły debiut wszystkich niemal współczesnych pisarzy. Czy w kim zaklęty śpi duch poety-liryka, dramaturga, epika czy powieściopisarza, zawsze na pierwszy ogień wysuwany bywa nowelista. Widocznie forma noweli, w istocie bardzo trudna i wymagająca niezmiernej finezji artystycznej, autorom początkującym wydaje się najłatwiejszą.

Ten pierwszy występ p. Orkana nie stanowi też bynajmniej o drodze, którą talent jego w przyszłości obierze. P. Orkan rozgląda się dopiero dokoła. Rym pociąga go widocznie, jak dowodzi przygrywka położona na czele książki, jak dowodzą niektóre fragmenty nowelek i zapowiedź w przyjacielskiej przedmowie Tetmajera, zwiastująca ukazanie się tomu poezji Orkana. Rym zdaje się być właśnie tą szatą, którą w przyszłości przyobleką na siebie duchowe siły młodego autora.

Nowele, które mamy przed sobą, wysnute zostały wszystkie z życia ludu. P. Orkan choć faktycznie na falach światła wyniesiony z pod strzechy wieśniaczej, zwraca ku niej nieustannie uczucie swe i myśl. W duszy jego, jak widmo nie znikające nigdy, stoi uboga nędzna chata włościanina polskiego. Zda się, że wyciąga on ku niej ramiona z miłością i bólem i Ujejskiego słowami żali się nad nią: „Chata polskiego chłopa zasypana śniegiem! Kiedy nad

tobą cichą nocne wichry wyją, podobnaś do mogiły, kto zgadnie, że żyją w tobie ludzie...“

Chłop, w ktorego myśli „noc a noc bez końca“, nad którego łożem „nie migoce szlachecka szabla, dzienną złocąca troskę wspomnieniem o sławie“, bohaterem jest jego myśli i prac jego.

Szczerością też serdeczną, młodzieńczą brzmią słowa przygrywki:

„Ukochałem lud biedny nad miarę,
Bom się jego pieśnią wykołysał.
Ukochałem zwyczaje i gwarę,
Które, dziecko, z piersi jegom wyssał“.

Nietylko pieśń, gwara, zwyczaje są ogniwami, wiążącemi go z ludem. Współczującem sercem młodzieniec ukochał braci siermiężnych za to, że nędzni i nieszczęśliwi, że głodni często i od chłodu drżący. Wspólna towarzyszka — bieda — wiąże go z niemi najściślej, ale też przyznaje, że ona ćmi mu oko „i przesłania serc ludowych głębię“.

„Może ona zaćmiła mi słonko
— mówi młody autor —
I na nerwach zwinęła promienie,
Że gdy chodzę serc ludowych łąką,
Poza światłem wszędy widzę cienie.
Poza światłem cienie widzę zawdy,
Łzy mię ciągną więcej, niźli blaski,
Lecz do ludu nie schodzę jak z łaski,
Ja w nim samym szukam tylko prawdy“.

Ten ślub szukania prawdy, prawdy przedewszystkiem i jedynie powtarza się raz jeszcze na ostatnich stronicach książki w alegorycznym fragmencie, zatytułowanym „Krótki sen“. Autor z trzema nieodstępnemi towarzyszkami swemi Miłością, Fantazją i Prawdą zchodzi na Targ życia.

Miłość ukazała mu serca sióstr i braci jego czyste, nieskażone żadną plamą.

Tęsknota niewytłómaczona ciągnęła go do nich, bo zdało mu się, że pomiędzy nimi jest raj Chrystusowy. Siostrzyca Fantazja na krajobrazy rodzinne rzaciła mu barwy tęczowi obłocznych kolorów, że wystąpiły przed nim rozkoszne, wspaniałe, takie, o jakich nigdy we snach nie zamarzył. Więc wołał: „Boska moja ziemio, czemu ja ciebie nie widziałem nigdy taką cudną i rozkoszną?!“

Aż przystąpiła trzecia drużka, Prawda, i wtedy zdjął go podziw bolesny. Bo oto znikły obrazy cudne, a pozostała „smętność czyścowa“. Łąki chwastami porosły, tam gdzie przedtem siniały lasy, nagich pniaków ujrzał gromadę. Widział człowieka w pocie czoła dobywającego z ziemi liche pożywienie i pochłaniającego chciwie zdobyty pokarm, widział ludzi smętnych rzucających zagrody rodzinne i spieszących w dal, na zachód, widział nędzarzy, patrzących z zazdrością w oświetlone rzęsiście okna pałacu, i nie odwrócił oczu od tych widoków bolesnych. Przeciwnie — odsunął od się Miłość i Fantazję, — a kochance — Prawdzie podawszy rękę zchodzić z nią począł w dół, po kamienistych, stromych ścieżynach.

Ślubując jednej tylko Prawdzie, autor jako artysta zbłądził. Prawda artystyczna i prawda życia nie są jednem i temsamem pojęciem. Nowela, jak każde dzieło sztuki, nie może samej prawdzie życia zawdzięczać swego istnienia, nie może być prostem odbiciem rzeczywistości. Tylko z siostrzanego sojuszu miłości, fantazji i prawdy, rodzi się ideał artystyczny, tylko że zlania się ich tchnień powsta dzieło sztuki.

To też nowele p. Orkana, te zwłaszcza, w których najwierniej służy wybranej kochance, nie zadawalniają wymagań artystycznych. „Dwie kartki z życia nauczyciela“, „Na zarobek“ nie są nowelami. To naszkicowane wiernie sceny z życia, niestanowiące żadnej artystycznej całości, nie pociągające artystycznym wdziękiem.

Wyżej stoją „Przeznaczenie“, „Na wydaniu“, „Zemsta trupa“, „Pogrzeb“, „Bezdomni“, itd. Ale bo też autor, choć ku szkodzie utworów swoich stłumił fantazję, nie zdołał wyrzec się miłości. Z miłością kreślone są jasne, czyste postacie kobiet. Nastki w „Zemście trupa“, rozkochanej, roztęsknionej i porzuconej Rózi w nowelce „Na wydaniu“; miłością tchnie opis wiejskiego pogrzebu ze wspomnień dziecinnych autora wysnuty („Dzieckiem jeszcze wypłakałem duszę przy tych cmentarnych śpiewach ludowych. I nie żal mi smutku owego“): miłość opromienia każdą scenę niedoli, każdy obraz nędzy i nieszczęścia. Sam z resztą przyznaje się do niej w pierwszych słowach swojej przygrywki.

Nie rozwijam dalej krytycznych poglądów na nowele p. Orkana, bo jak słusznie mówi p. Tetmajer „pamiętać trzeba, że ma on lat dwadzieścia, i że to pierwsze kroki“:

Zauważyć tylko muszę jeszcze, że zwykle autorowie praktykujący grzeszą w przeciwnym jak Orkan kierunku. W pierwszych latach twórczości fantazja zwykle jedyną bywa przewodniczką. P. Orkan obrał sobie prawdę; prawdzie poświęcić chciał zdolności swoje, ponieważ wydało mu się to obowiązkiem społecznym. A więc autorstwa swego nie uważa jedynie za ozdobę skroni młodzieńczej, traktuje je, jak traktowano niegdyś, jako posłannictwo, jako służbę ofiarną przy ołtarzach ideału.

P. Orkan rozpoczyna życie, idzie w świat, a nie idzie ubogi, ani wydziedziczony. On w duszy swojej unosi miłość, a miłość jest siłą ludzi zwyczajnych i siłą twórców.

Młody poeta idzie w świat na walkę, z której wrócić powinien zwycięzcą, bo pamiątek smutnych, ale czystych i krzepiących zabiera ze sobą bogatą skarbnicę.

Gdy serce zapłynie mu goryczą, gdy wydawać mu się zacznie, że „prawdą tylko złe“, gdy zwątpi o czystości dusz ludzkich, dosyć mu będzie spojrzeć poza siebie, w przeszłość, przypomnieć kochające oczy matki i spracowane jej dłonie.

Gdy świat fałszywych blasków pociągać go zacznie urokiem, przypomni ubogą chatę ojcową i twardy żywot chłopski.

Gdy zechcą ludzie skrępować jego ducha, nakłonić go by dobrowolnie zamknął się w ciasnej, ale ciepłej i pełnej jadła klatce przypomni dzikie, nieokiełzane wichry górskie, które z szumem nad dziedziną jego latały i jako orzeł do niepowstrzymanych lotów zapragnie rozwinąć skrzydła.

A gdy ziem dalekich, pięknych, bogatych upoją go czary, wiernem sercem chłopskiem niechaj przypomni żałobną marę ojczyzny swojej i lud swój uciśniony, miłości młodzieńcze swoje niech przypomni!

H. C.

Czcionkami »Drukarni Polskiej« we Lwowie. (Pasaż Hausmana)